

Miłość po szkocku. W Poznaniu.

Urodzona i wychowana w przedwojennym Glasgow Mary, nie zaznała w dzieciństwie miłości. Żyła w swoim świecie dziecinnych ideałów. Wojna nauczyła ją, jak być odporną i jak sobie w życiu radzić. Uosobieniem jej młodszych marzeń jest jej ojczym, Jan Rogacki (właściwie Władysław Kolecki), Polak, służący na kontrtorpedowcu „Błyskawica”. Mary zdaje sobie sprawę, że to nie jest zwykły żołnierz, lecz bohater, który miał nieszczęście ożenić się z jej matką. Jan jest całe życie obecny w życiu Mary i jest dla niej kimś ważnym. Za matką i ojczymem emigruje wraz ze swoją rodziną do Australii, osiedla się w Perth. Zaczyna walczyć o przetrwanie w nowej rzeczywistości, jak większość emigrantów i uczy się nowego życia. Codzienne problemy pochłaniają ją, ale nigdy nie zapomniała o Janie i jego polskości. W jaki sposób Mary zrehabilituje Jana i odda sprawiedliwość jego poświęceniu dla swojej ojczyzny, w następnych odcinkach. Mary jest postacią autentyczną.



Poznań był zupełnie inny niż Warszawa. Stary, dziewiętnastowieczny. Wojna go widać nie zniszczyła. Wyglądał jak Chicago: miał szerokie ulice, małe, stare domy stały ciągle wzdłuż ruchliwych głównych arterii, a na jezdniach królował raczej transport publiczny, jak Mary miała się przekonać, dobrze działający i tani.

Niektóre ulice, z zieleńcami przy blokach mieszkalnych, z pralniami z boku, przypominały czynszowe kamienice Glasgow, tyle, że tutaj wszystkie mieszkania miały balkony, metr na dwa, niektóre wystawiające na pokaz obfitość kwiatów, inne z praniem udrapowanym na balustradach. Niższe balkony otoczone bywały drutem kolczastym, jak powiedziała jej później Seweryna, siostra Jana, przeciwko włamywaczom. Psów była masa, ale wszystkie w kagańcach. Kwiaty były wszędzie, na każdym rogu uliczni handlarze sprzedawali kwiaty. I - nie wiadomo dlaczego - sprzedawali też świece wszystkich kształtów i rozmiarów. Wszystko to Mary notowała sobie w myślach, żeby opowiedzieć Janowi. Zresztą, zanim mogła rozejrzeć się lepiej, była na miejscu.

Taksówka zatrzymała się przed wielkim blokiem. Mary wzniosła właśnie oczy ku niebu: - jak na litość boską mam znaleźć właściwe mieszkanie?, kiedy od strony kierowcy pojawiła się wysoka, szczupła kobieta, zadała jakieś pytanie, szofer odpowiedział: "tak, tak", i wtedy Mary zobaczyła ją, Sewerynę. Duża, przystojna, choć niemłoda blondyna objęła ją ramionami powtarzając: "*Mari, Mari*".

- Udało mi się! - prawie nie mogła uwierzyć.

Szczupła pani to była Dorota, sąsiadka, która mówiła po angielsku. Niestety, mogła pozostać z nimi tylko dwie godziny, odlatywała bowiem do Londynu, w interesach.

- Proszę, witaj w moim domu - powiedziała Seweryna.

Proszę i dom Mary zrozumiała, *witaj* będzie musiała sprawdzić później w swojej biblii - słowniku, który stale ścisnęła w garści niby paszport.

Dom Seweryny zapraszał, stół był zastawiony, były kwiaty i świece, wino i lśniące kieliszki. Było gorąco, może ze 30 stopni, toteż duże okna były otwarte i prezentowały całą piękną wystawę kwitnących w skrzynkach kwiatów. Salonik był przytulny. Na podłodze leżał bogaty, czerwony dywan. Ładna, duża szklana szafa z solidnego drzewa pyszniła się skarbami całego życia gospodarzy. W oknach wisiały piękne koronkowe firanki, a nakrycia poduszek na sofie były robione szydełkiem, tak samo jak śliczny koronkowy sweterek, w który była ubrana gospodyni. Mary rozejrzała się po ścianach: wszędzie reprodukcje świętych obrazów, szczególnie eksponowany papież Jan Paweł II.

Kuchnia była malutka, ale urządzona starannie, pełna słoików z przetworami. Mary poznała wypłowiały ręczniczek z kangurem, wiszący na ścianie – to był podarunek od Jana, sama go kiedyś wybierała w sklepie.

Do sypialni Seweryny wchodziło się z kuchni. Sypialnia była dosyć duża, ale gdyby nie olbrzymie drewniane szafy, byłoby tu jeszcze jakieś dwa metry przestrzeni ekstra. Toaleta była oddzielona od łazienki. Mary zdecydowała, że od tej chwili będzie jej się podobało wszystko, bo czuła się swojsko i to było najważniejsze.

Otworzyła swoją torbę z podarunkami ze Szkocji. Nie miała w niej nic z Australii, bo w Australii nie myślała jeszcze o wizycie w Polsce. Przywiozła więc Sewerynie kruche ciasteczka, tradycyjne szkockie herbatniki, figurkę Potwora z Loch Ness. Wyciągnęła też szal w szkocką kratę i owinęła gospodyni dookoła szyi mówiąc: "zima". O, Mary znała nazwy pór roku i dni tygodnia po polsku, umiała też liczyć do dziesięciu, toteż jeśli zdarzyło jej się znać jakieś słowo, używała go z radością i bez względu na gramatykę. Seweryna – niestety – nie chciała próbować angielskiego, a szkoda, bo wiele słów było całkiem łatwych, podobnych w obu językach.

- Kawa, herbata?

Seweryna miała piękną opaleniznę, w złotym odcieniu, żadnego makijażu. W jej włosach, teraz siwych, przebijały pasma naturalnego koloru blond. Była postawną kobietą, i zachowywała się całkiem jak Jan, ruchy jej oczu i rąk były podobne. Mary aż trudno było uwierzyć, że upłynęło 59 lat, od kiedy Seweryna ostatni raz widziała swojego brata. Można by pomyśleć, że przeszli przez życie razem. Mary widziała kiedyś jej fotografię jako kilkunastoletniej dziewczyny, Seweryna była wtedy piękna.

Zostać wywiezioną do Niemiec w wieku czternastu lat, to musiał być dla niej koszmar, dla jej matki też. Ale nie chciała wiele mówić o latach wojny. Powiedziała, że Rosjanie byli tak samo źli, potem temat został zaniechany.

Krzążając się po kuchni przy kolacji, Seweryna widocznie była szczęśliwa, bo śpiewała.

- Janek *syng*?

- Nie, nie, *just* „Marsz, marsz Dąbrowski”.

Seweryna roześmiała się.

- Janek *taniec*?

- Nie, nie, *Severina*.



Władysław Kolecki - pierwowzór Jana Rogackiego, bohatera powieści Anny Habryn „Miłość po szkocku” i jego pasierbica Mary, Perth, Australia.

Polska kolacja była za ciężka na jej żołądek. Kawa miała smak piasku, herbata była słaba, wino było smaczne, ale Mary spróbowała tylko trochę i pozostała przy wodzie. Gospodyni była naprawdę dobrą kucharką, jak zwykle Europejczycy, ale już następnego dnia próbowała zmusić Mary do jedzenia trzech posiłków dziennie. Mówiła:

- *Mari* chuda, Seweryna gruba.

Mary wiedziała, że „gruba” znaczy *fat*, a domyśliła się z jej bardzo opisowych gestów, że „chuda” znaczy *thin*. Porozumiewały się jak Robinson Crusoe z Piętaszkiem.

Mieszkanie mieściło się na półpiętrze (Seweryna została pewnie przez władze kwaterunkowe potraktowana ze specjalnymi względami z powodu swojej chorej nogi - myślała Mary) i miała widok na aleję drzew, a dalej na miejscowy park. Przez następne dwa dni Mary spacerowała po nim, albo po prostu siedziała na ławce obserwując zwykłych ludzi, ciężko pracujących, nie bardzo różniących się od ludzi gdziekolwiek indziej na świecie, i dobrze.

Sierpniowe wieczory były ciepłe i pachnące. Łóżkiem Mary była kanapa, która rozkładała się całkiem zmyślnie. Mogła leżąc na niej oglądać telewizję, w której nadawano często angielskie programy, z polskimi napisami. Seweryna pisała wieczorami długie listy do Jana, żeby Mary zabrała je do Australii. Noce były krótkie, mrok zapadał około 10-tej wieczorem.

W piątek po kolacji Seweryna zadzwoniła do swojej starszej siostry Zofii i oznajmiła, że odwiedzą ją jutro, w sobotę, *tomorrow*. Mary nie mogła długo zasnąć. Myślała, że musi jutro wysłać Janowi kartkę z Poznania. O tylu rzeczach chciała mu powiedzieć... Rano Seweryna wstała wcześnie. Poszły po świeży chleb. Pobliskie sklepy były podobne do australijskich, sprzedawały wszystkie niezbędne rzeczy, ale na pewno nie były nawet w przybliżeniu takie duże, jak australijskie. Bogactwa nie było widać, tak samo jak biedy.

Śniadanie było zawsze dużym posiłkiem, dla biednej Mary niemożliwym do skonsumowania. Seweryna miała dobry apetyt.

Kiedy naczynia zostały pozmywane, a łóżka pościelone, wyszły w poranne słońce. Przy sobocie centrum Poznania roilo się od ludzi. Jechały dwoma autobusami i obejrzały trochę miasta. Miejscowy targ był interesujący, masa świeżych owoców i jarzyn: czerwona kapusta, buraczki.

Znowu kwiaty, wszędzie sprzedawano śliczne kwiaty, więc kupiła duży bukiet dla Zofii. Seweryna kręciła głową z dezaprobatą na temat wydawania przez Mary pieniędzy. Nie pozwoliła Mary zapłacić za taksówkę na ostatnim etapie ich podróży do Zofii. Mary za to zapłaciła za taksówkę do domu w nocy, wracały bowiem zbyt późno, żeby skakać z autobusu na autobus. Siostry Jana mieszkały w sporej odległości od siebie.

Przyjęcie u Zofii było równie miłe, jak u Seweryny. Jak na jej wiek, była to bystra kobieta, bardzo interesująca, ciągle piękna, z oczami, które wydawały się przewiercać Mary na wskroś. Nie dałaby się nabrać nikomu. Była tam też pani o nazwisku Mary Hoffman, Żydówka, kobieta nieco starsza od Mary, żona lekarza. Mówiła ona dobrze po angielsku i miała być tego dnia ich tłumaczem. Z Zofią mieszkała również jej pielęgniarka, młoda, ładna kobieta, na imię miała... Zofia. Siadły więc do rozmowy: dwie Zofie i dwie Marie.

To mieszkanie - one na wszystko mówiły „dom” - było bardzo ładnym, drogim apartamentem. Stół znowu uginał się pod potrawami tradycyjnej polskiej kuchni. Była i wiśniówka, którą Mary zaczęła uważać za wódkę tak polską, jak szkocka była whisky.

Mary miała jakieś pamiątkowe drobiazgi również dla Zofii. Dostała w rewanżu polską lalkę w tradycyjnym stroju, łatwą do przewiezienia, śliczny prezent. Od Seweryny miała już podarunki równie piękne: była to paczka dla Jana i dwa kryształowe wazony, jeden dla Mary, drugi dla Mandy. Ten dla Mary był opleciony dookoła wzorem koloru bursztynu.

Młoda Zofia nie umiała po angielsku, ale jej oczy wyrażały wielką radość z obecności gościa. Mary Hoffman zaś powtarzała, jaka to z Mary odważna młoda kobieta. Młoda! - to Mary rozśmieszyło.

- Mam 62 lata! - powiedziała z dumą.

Przez następne kilka godzin zadawały pytania – i opowiadały.

- Zofia była kiedyś bardzo zdolną i przedsiębiorczą kobietą. Podczas wojny – powiedziała Mary – tłumaczka – Zofia miała swój własny sklep rzeźniczy. Jakoś potrafiła pomagać wielu ludziom, takim jak ja. Pewnie nie możesz sobie wyobrazić, że czasem ratuje się komuś życie dając mu kości i tłuszcz na zupę.

- Mogę sobie wyobrazić – powiedziała Mary.

Dzieci Zofii wszystkie zrobiły zawodową karierę. Seweryna natomiast nigdy nie została pobłogosławiona dziećmi. Jej mąż, chociaż nie znała go jeszcze wtedy, był w ruchu oporu. Nie chciały powiedzieć nic więcej, choć Mary miała nadzieję na jakąś bohaterką opowieść. Wyglądało na to, że nie całkowicie jej ufają. Kiedy zapytała, czy Jan jako chłopiec był „dobrze *boy*”, zajęły pozycję obronną. Żadnych żartów, w tej rodzinie zachowywano absolutną lojalność wobec dawno utraconego brata.

Zofia zaskoczyła Mary pytaniem:

- Dlaczego twoja matka nie pozwoliła Jankowi przyjechać do Polski na urlop?

Mary nie miała zamiaru bronić swojej matki, ale chciała pozwolić im myśleć, że Jan był w miarę szczęśliwy w życiu na obczyźnie. Gdyby chciała powiedzieć pełną prawdę, musiałaby wyznać, że jedyną osobą, która dawała Janowi szczęście, była jego córka, Sandra.

Ale one były podejrzliwe. Któryś z siostrzeńców Jana odwiedził Adelaide w Południowej Australii 12 lat temu i zadzwonił stamtąd do Sheili prosząc do telefonu Jana. Matka odmówiła, powiedziała, że Jan leży chory, jest starym człowiekiem i nie może jechać na wakacje, a w ogóle są na to za biedni.

Mary przypomniała sobie, że słyszała o tym telefonie. A teraz przyciskano ją do muru. Przecież nie mogła im powiedzieć: moja matka lubiła mieć całkowitą kontrolę nad Janem. Jedyne raz, kiedy jej mąż okazał silną wolę i postawił na swoim, to było wtedy, kiedy na horyzoncie, to znaczy w Londynie, pokazał się jego brat, w 1952 roku. Matka musiała się wtedy ugiąć, rzucić kochankę i wrócić do męża. – Do końca wam tego widać nie wybaczyła. A może też bała się, że Jan znowu zrobi jej jakąś niespodziankę?

Jak im to miała wyjaśnić? Lepiej było uniknąć odpowiedzi i zmienić temat. Na szczęście miała ze sobą kasetę wideo. Jeden z kuzynów w Anglii miał film z Sandrą, zrobiony w 1986 roku, dobry film rodzinny, z kilkoma ujęciami, w których widać było Jana. Mary pożyczyła tę taśmę, żeby rodzina Jana mogła ją obejrzeć.

Przeszły wszystkie do bawialni i siadły przed telewizorem. Młodsza Zosia wprost nie mogła się doczekać, żeby obejrzeć autentyczne życie w Australii. Na filmie uwieczniono baseny kąpielowe, pokoje do gier ze stołami do bilardu, łodzie... cały ten styl życia naprawdę wydawał się bardzo komfortowy, nie sfilmowano niczego wyglądającego ubogo. Ale starej Zofii, jak wytrawnemu psychologowi, nie umknęło nic. Nie podobał im się brat Mary, Wilson. Był bardzo przystojny, orzekły, podobny do matki, ale nie zachowywał się naturalnie, ani nawet grzecznie: ciągle wpychał swoją twarz przed obiektyw. Matkę też poddały ścisłej analizie, szczególnie kiedy zobaczyły, jak niełaskawie próbuje odepchnąć od siebie Jana. Biedny Janek. Kiedy oglądały te właśnie sceny z Janem, płakały, śmiały się i machały do niego! Wszystko to wydawało się Mary nieco zwariowane, ale przecież oto pierwszy raz w życiu mogły zobaczyć swojego brata w Australii: chodzącego, śmiejącego się, wsiadającego i wysiadającego ze swojego samochodu, z jego piękną córką Sandrą.

Mary była zupełnie szczęśliwa. Wiedziała już, że jej przedsięwzięcia bez zastanowienia podróż do Polski miała sens.

Ofiarowała im tę kasetę jako drogocenny podarunek. Powinna była ofiarować im ich brata, a nie tylko jego obraz, ale to była jedyna rzecz, jaką mogła zrobić, małe zadośćuczynienie za to, że nie pomogła Janowi wcześniej w jego życiu.

Godziny upływały. Zdaje się, że wszystkie cztery były już bardzo zmęczone. Ale wyciągnęły jeszcze rodzinny album ze zdjęciami. Więc Mary zobaczyła matkę Jana, i ojca.

- Podobny jak dwie krople wody - wykrzyknęła, a one się zgodziły. Zobaczyła ich ładny dom na wsi, porządny, ceglany, piętrowy dom. Mieli kilka akrów ziemi, o których Jan opowiadał narzekając, że musiał na nich pracować po przyjeździe ze szkoły. Mieli mały sad, gruszki i jabłka, ale głównie warzywa. Ich życie - mówiły - jak życie większości Polaków, zostało wywrócone do góry nogami przez hitlerowców.

Rodzina nie wiedziała, czy Jan żyje czy nie, aż do roku 1947. Kiedy się dowiedziały, że *Błyskawica* wróciła do kraju, były zadowolone, że Jan został w Szkocji, najważniejsze, że żywy i bezpieczny. Mary słuchała, co mówią i czuła, że to wciąż nie była odpowiednia chwila, żeby sugerować im coś przeciwnego. Nie chciała oświecać ich więcej jak tylko mówiąc, że jej matka była samotną kobietą z dwojgiem dzieci. Zapytały, czy ich ojciec zginął w akcji. Nie mogła się pochwalić - w ich życiu nie było bohaterów wojennych - przed Janem!

Chciały dowiedzieć się wszystkiego o 50-ciu latach w jeden wieczór. Mary padała już z wyczerpania, trzeba było zakończyć ten wieczór. Niełatwo było jednak powiedzieć gospodyniom: żegnajcie.

Czuła się zaszczycona, że jest częścią ich życia i że łączy ich ten brat, którego nigdy nie zapomniały, jej polski ojciec. Cichy, poniżany, skromny człowiek, trzymany w izolacji, z daleka od tych niewielu ludzi, których znał i kochał.

Rzeczy miały się zmienić, powoli, ale na pewno. Wierzyła, że ta jej podróż do Polski będzie początkiem tej zmiany.



Poznań

Następnego dnia, niedzieli, Mary oczekiwała z ciekawością. Miały z Seweryną iść do kościoła, a potem na cmentarz. Ale przedtem były “Wiadomości Poranne”. Seweryna włączyła radio i krzyknęła, wyraźnie wytrącona z równowagi.

- Diana, Diana zabita!

- Nie, musiałam jej nie zrozumieć - pomyślała Mary zupełnie zdezorientowana. Ale nie potrzebowała wyciągać swojej „biblii - słownika”, bo właśnie podawano tę wiadomość w telewizji, a obrazy mówiły same za siebie.

Poczuła, że trzęsie się ze zdenerwowania: jak to się mogło stać? Jak to możliwe, to nie fair! *Cinderella* nie może umrzeć, bajki się po prostu tak nie kończą, prawda? Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku. Diana bawiła w Paryżu, była chroniona, kochana, bogata, miała wszystko. I zginęła. Mary zaś była w Polsce - i nagle poczuła się niepewnie. Tak chciałaby się wypowiedzieć, wyrazić grozę, po prostu pomówić z kimś!

Kościół był wypełniony po brzegi. Kiedy wierni pogrążeni byli w głębokiej modlitwie, Mary myślała o Williamie i Harrym, synach Diany, a potem modliła się za swoją własną rodzinę, nie wiedzącą, gdzie ich matka przebywa.

Śmierć Diany uprzytomniła jej nagle niebezpieczeństwa, na jakie wszyscy ludzie - i ona też - są w życiu narażeni. Samoloty, pociągi, samochody, wszystko takie kruche.

Nie rozumiała obrządku, ale był on pełen patosu. Trzydziestu chłopców w chórze śpiewało do wtóru takiemu rytuałowi przy ołtarzu, że Mary, zafascynowana, zapomniała na chwilę o wiadomościach ze świata. Seweryna przyjęła komunię. Dookoła przesuwali się ludzie, starzy i bardzo młodzi, Mary badała ich twarze: te starsze miały w sobie coś mizernego, nie głód, ale czujny, błagalny wyraz, jak gdyby ci ludzie ciągle żyli w przeszłości, albo rozpamiętywali jakieś przeżyte okropności ciągle na nowo. Mary była pewna, że to nie był tylko wytwór jej fantazji. Była przekonana, że ich rozumie. Myślała z głębokim współczuciem:

- Nie mają zwyczaju wypowiadać się swobodnie. Przejeżdżający obok samochód policyjny przyprawia ich o niepokój. Minie jeszcze wiele lat, zanim będą wypowiadać się tak, jak my to robimy w Australii. Starzy ludzie zawsze patrzą pod nogi. Na pewno to też pozostało im z przeszłości, kiedy chodzili obawiając się o swoje życie. Takie wyrzeczenia, taki ciężar, znoszenie jednego nieprzyjaciela po drugim, myślę, że trzeba następnego pokolenia, żeby ich rany się zabiłiły.

Wyszły z kościoła, kupiły sobie zimny napój i lody i wsiadły w następny autobus, który zawiózł je na cmentarz. Wyglądało na to, że kiedy ludzie w Polsce wybierają się na piknik, wszyscy idą na cmentarz. Mary żałowała, że nie może zrozumieć napisów na nagrobkach i na tych pomnikach sięgających w niebo. Dużo tu leżało młodych ludzi, zmarłych w 1986, 87, 90, 91, zapytała, dlaczego?

- Piloci, bum, samolot niedobry - zrozumiała: zła konserwacja, polscy piloci, rosyjskie samoloty.

Mąż i matka Seweryny byli pochowani obok siebie. Grób Stanisławy Rogackiej był skromny w porównaniu z grobem męża Seweryny, ale oba dobrze utrzymane. Mary pomogła kupić kwiaty, Seweryna kupiła świece. Teraz rozumiała, po co sprzedawano świece.

Seweryna odprawiła zwyczajowy rytuał: najpierw omiotła groby, potem je odkurzyła. Kazała Mary iść po wodę, *water*, po którą idąc trzeba było manewrować ostrożnie i z godnością między grobowcami. Wodę pompowało się ręczną pompą. Cieszyło Mary, że jest częścią tej kultury, i miała świadomość, że uczestniczy w tym jedyny raz w życiu. Więc pompowała tę wodę, jak normalna polska *pani*. Seweryna wylała część wody na groby, umyła je, reszta była potrzebna do kwiatów. Jej mąż nie żył od piętnastu lat, matka od dwudziestu, a groby ciągle były tak szanowane, jakby to wszystko było wczoraj. Kiedyś wyjaśniono Mary, że w Polsce obchodzi się dzień pamięci wszystkich zmarłych, 1-go listopada. Z tego, co widziała w tamtą niedzielę, wynikało, że ludzie w Polsce nigdy nie zapominają, gdzie spoczywają ich bliscy.

Był w Polsce jeden taki obyczaj, który obserwowała z zazdrością: rzucał się w oczy szacunek, jaki młodzi okazywali starszym. Miło było obserwować ich maniery i troskliwość, szczególnie w środkach publicznego transportu. Pomagali starym ludziom chętnie. Mary nigdy nie widziała, żeby młoda osoba siedząca w autobusie nie wstała, jeśli wsiadał jakiś starszy mężczyzna czy kobieta. Wydawało jej się, że to nie tylko dobre maniery, ale uczciwy, prawdziwy szacunek dla starszych, coś z czym się nie spotkała nigdzie indziej na świecie.

Nie widziała dookoła żadnych licznych rodzin. Dwoje lub troje dzieci wydawało się właściwą liczbą. W polskiej sytuacji kontrola urodzin musi być sprawą dramatyczną dla dobrych katolików. Bo to jest świat katolicki. Na papieża Jana Pawła II patrzy się jak na zbawcę Polski, a następny z kolei jest Lech Wałęsa, laureat nagrody Nobla, ojciec całej gromady dzieci.

Jechały przez peryferie Poznania, bezbarwne, miejskie dzielnice. Getta czynszowych budynków, identyczne egzemplarze cementowych bloków. - W Glasgow - przypomniawszy sobie Mary - próbowano tego po wojnie, ale dwadzieścia lat później zaczęto to burzyć. Ludzie chcieli od życia więcej, emigrowali do Kanady i Australii, które obiecywały przestrzeń i radość życia. Ktoś wkrótce położy kres tym potwornościom budowlanym. Widać przecież, że ludzie tu czynią wysiłki, żeby wprowadzić w swoje życie naturę: parki, drzewa, kwiaty. Jakoś w końcu urozmaicą monotonię tych wysokościorców.

W tę niedzielę Seweryna zabrała Mary jeszcze do Ratusza, wspaniałego budynku

stojącego na kwadratowym placu, brukowanym kamieniami i podobnym do placów Edynburga albo Paryża. Zdobily go stragany kwiatów. Turyści i miejscowi, wszyscy zgromadzili się, żeby oglądać, jak zegar na wieży wybija godzinę dwunastą. Z wybiciem zegara, w środkowej z trzech wieżyczek wyłoniły się dwa drewniane koziołki, skinęły tłumowi w dole, zwróciły się ku sobie, stuknęły rogami, raz, drugi, trzeci.... Ludzie głośno liczyli uderzenia. To przedstawienie trwało niecałą minutę. Dzieci się śmiały, trzaskały aparaty fotograficzne.

W poniedziałek Mary powiedziała Sewerynie:

- Nie, nie *more cooking* - dosyć gotowania. Zrozumiała.

W jakiejś pełnej urzędów dzielnicy Poznania znalazły miłą restaurację. Mary zamówiła "ryba", bo wiedziała, że to *fish*, Seweryna zjadła to samo, z sałatą, obie piły też polskie piwo. Owszem, było dobre. Kelner oczywiście również usłyszał całą historię o Mary. Ręce Seweryny były bardzo wymowne, jak u Włochów, Mary zafascynowana obserwowała ich gestykulację. Była pewna, że stanowiły śmieszna parę, kiedy tak machały rękami, pokazując sobie to lub tamto. Wróciły do domu o czwartej po południu. To tutejsze lato przypominało australijskie. Było ciągle gorąco i ani kropli deszczu. Mary wyciągnęła się na kanapie, a Seweryna poszła do kuchni. Niespokojna, po kilkunastu minutach Mary zajrzała do niej i... nie wierzyła własnym oczom: Seweryna zaczęła przygotowywać następny, wieczorny posiłek! Nie było na nią rady. Zdesperowana, usiłując spalić nieco kalorii, Mary zasugerowała miły, wolny spacer.

Seweryna podpierała się laską. Jej prawa noga była wiele razy operowana z powodu gruźlicy kości. W 1948 r. Jan posłał jej przez Czerwony Krzyż trochę penicyliny i ten antybiotyk uratował jej nogę. Dlatego czuli się jeszcze bardziej związani ze sobą. Jej miłość do niego była zresztą zawsze silna, podobno od dzieciństwa.

Było bardzo późne popołudnie. Młode matki pchały wózki ze swoimi dziećmi, a dzieciaki wszystkie wyglądały krzepkie i bardzo zadbane. Parki były pełne ludzi, młodych i starych, cieszących się tropikalną pogodą. Wracając mijały bardzo ładne, staroświeckie domy z wysokimi dachami. Ich drewniane drzwi z zasuwami były otwarte, żeby wpuścić nieco świeżego wieczornego powietrza. W ładnych ogrodach warzywnych, jabłonie i grusze sypały owoce na ścieżki. (...)

Wróciwszy do domu, Seweryna zagotowała i zabutelkowała owoce i odstawiła je na zimę, aby nic się nie zmarnowało. Mary patrząc na to pomyślała o Szkotach. To oszczędna rasa. Powiadają oni: - Bądź rozważny dzisiaj, bo jutro możesz potrzebować. Nie wyrzucisz, nie będzie ci brak. Seweryna była zapobiegliwa jak Szkotka. (...)

W czwartek rano, o szóstej, Mary miała wracać do Warszawy. Smutno jej było opuszczać Sewerynę teraz, kiedy już zaczynały zupełnie dobrze się porozumiewać.

O 4.45 rano Seweryna była na nogach, jak skowronek, usiłując zmusić Mary do zjedzenia śniadania.

- Co ona tam pitrasi w kuchni? Oczywiście: hamburgery, troskliwie owinięte w srebrną folię, do zjedzenia w pociągu. Poza tym, dała Mary butelkę wody święconej z wizerunkiem Madonny, i drugą, małą buteleczkę dla Mandy.

Cudowna była ta troskliwość Ciotki Seweryny.

Przybyły na stację mając w zapasie dużo czasu. Seweryna uparła się, że wsadzi Mary do przedziału. Inni pasażerowie spokojnie czytali swoje poranne gazety. Mary chciała się po prostu wtulić w swoje siedzenie przy oknie i przemyśleć ten czas spędzony w Poznaniu, ale Seweryna krzątała się dookoła jak kwoka z kurczęciem.

Rozległ się gwizdek. Mary uśmiechała się i błagała ją w duchu: - Seweryno, proszę cię, wracaj na peron. Było jej smutno: czy jeszcze kiedyś zobaczy tę dzielną kobietę?

Pociąg ruszył. Obie miały łzy w oczach.

Patrząc potem na przesuwany się za oknem krajobraz, Mary myślała o tym ostatnim tygodniu spędzonym wśród obcych, a tak gościnnych ludzi. Czy udało jej się rozjaśnić ich życie, czy powiedziała im wystarczająco dużo, czy im się spodobała? Cóż, przynajmniej próbowała. W ciągu jednego tygodnia Seweryna dowiedziały się o swoim bracie więcej, niż w ciągu poprzednich pięćdziesięciu długich lat. Mary zrobiła, co mogła.

Rozdział 7 ukaże się w poniedziałek 22 maja 2017 r.